

{12}



PRELEKCJE MISTRZÓW

Prelekcje Mistrzów

WYDZIAŁU FILOLOGICZNEGO
UNIwersytetu w Białymstoku

Białystok 2020

Antoni Libera

RADYKALNY SCEPTYCYZM

**Seria Naukowo-Literacka „Prelekcje Mistrzów”
Wydziału Filologicznego
Uniwersytetu w Białymstoku**

Prelekcja 12

Redakcja serii: **Jarosław Ławski, Krzysztof Korotkich**
Redaktor tomu: **Krzysztof Korotkich**
Streszczenia: TRANSLATED S.R.L.

Według projektu graficznego Huberta Pilickiego, Alter Studio
Fotografie: Krzysztof Korotkich i Jarosław Kuźmicki,
na stronie 3 zdjęcie z archiwum A. Libery

Copyright by Antoni Libera
Białystok 2020
Copyright by Uniwersytet w Białymstoku
Białystok 2020

Skład: Ewa Frymus-Dąbrowska

PRYMAT Mariusz Śliwowski
ul. Hetmańska 42, 15-727 Białystok
tel. 602 766 304, 881 766 304
e-mail: prymat@biasoft.net
www.prymat.biasoft.net



ISBN 978-83-7657-350-2



PRELEKCJE MISTRZÓW



*Antoni
Libera*

RADYKALNY SCEPTYCYZM

Z rozmaitych powodów zostałem wychowany w duchu racjonalizmu i wolnomyslicielstwa: poza Kościołem i wiarą, poza dziedzictwem krwi, poza mitem takiego lub innego narodu i poza ideologią dzielącą ludzi na klasy. I stąd też jedyną rzeczą, która mnie określała, był język – język polski, i wszystko, co przynosił. A współgrał z tym jeszcze charakter – raczej introwertyczny. Wiodło to naturalnie na peryferie życia i wyzwalało ducha nieufności, przekory, ironii i negacji. Cóż bowiem pozostaje, kiedy w nic się nie wierzy i stoi się na uboczu; kiedy w głowie króluje zwątpienie i sceptycyzm?

Kondycja ta jednak miała pewną szczególną wartość: łączyła z duchem czasu w skali uniwersalnej (cywilizacji Zachodu), to znaczy ze świadomością metafizycznej pustki, kryzysu wszelkich wartości i względności wszystkiego.

Świadomość ta była skutkiem różnego rodzaju czynników: od przemowczych teorii i odkryć naukowych, przez radykalne ruchy i przemiany społeczne, po kataklizm wojenny i hekatombę ofiar, i stanowiła reakcję na to wszystko, co zaszło, powiedzmy, od początku dwudziestego stulecia. Przejawiały się w niej zwątpienie i szyderstwo, zagubienie i zgroza. Znow po setkach lat wiary w nadprzyrodzony

sens – i starań, by w jego imię wprowadzić ład na Ziemi – człowiek znalazł się naraz na powrót w punkcie wyjścia: w ciemności, na bezdrożu, bez jakiegokolwiek busoli. Sam, w otchłani kosmosu, który na domiar złego od owych dawnych początków niesłychanie się rozrósł, stając się monstrualnym i niepojętym tygłem o niewyobrażalnych wymiarach i właściwościach.

Tę katastrofę duchową najcelniej wyraził w Polsce Stanisław Ignacy Witkiewicz. Był to z pewnością geniusz – człowiek o wielu talentach i wspaniałym umyśle, zdolnym nie tylko postawić prawidłową diagnozę, lecz i przewidzieć przyszłość. Wszechstronnie wykształcony, ciekawy świata, chłonny, a także naoczny świadek przewrotu bolszewickiego, zawarł swe obserwacje, przemyślenia i wnioski w brawurowo pisanych dramatach i powieściach, a także w obszernych szkicach z pogranicza nauki, krytyki i filozofii. Czytało się to wszystko z wypiekami na twarzy, z podziwem i ze śmiechem, jako że ów artysta, oprócz innych zdolności, był jeszcze bardzo dowcipny.

Dla młodego odbiorcy, urodzonego po wojnie, takiego właśnie jak ja – mimo wielkiego uznania, czy nawet fascynacji, jakie bezspornie budził – stwarzał jednak też problem, choć szczególnej natury. Mianowicie już nie żył. Co więcej zmarł samobójczo na samym początku wojny (18 września, w dzień po zdradzieckim ataku Rosji sowieckiej na Polskę), przez co jak gdyby zastygł w granicach innej epoki. Przynajmniej tak był widziany. A więc nie jako pisarz w dosłownym sensie współczesny, lecz mimo niezaprzeczalnej aktualności dzieła jako *k l a s y k m o d e r n y* – autor już historyczny. Zresztą zarówno ze względu na przedstawiony świat, jak i na język, i styl, którym się posługiwał, w istocie tkwił on bez reszty w okresie międzywojennym, który choć niedaleki pod względem liczby lat, psychologicznie jednak był zamierzchną przeszłością.

Tymczasem inny pisarz czujący ducha czasu i zmagający się z nim, choć z perspektywy kogoś urodzonego po wojnie również anachroniczny – potomek ziemiańskiej rodziny, napuszony ekscentryk, a prócz tego mniej znany i o mniejszym dorobku w porównaniu z Witkacym – nie stwarzał takiego problemu. Chodzi o Gombrowicza. Owszem, był od tamtego o dwadzieścia lat młodszy i w dalszym ciągu żył (wprawdzie na emigracji, co nieco osłabiało jego oddziaływanie), lecz nie to przesądzało o jego atrakcyjności – o tym, że był odbierany, przynajmniej w pewnych kręgach, nie jako relikwitu epoki bezpowrotnie minionej, lecz jako autor wciąż żywy.

O znacznej popularności pisarstwa Gombrowicza w czasach mojej młodości, a ściślej trzech jego książek: powieści *Ferdydurke*, powieści *Trans-Atlantyk* i zbioru opowiadań pod tytułem *Bakakay* (jego *Dziennik* pisany od wczesnych lat 50. i ogłaszany drukiem w emigracyjnej „Kulturze” nie miał w Polsce debitu i znany był nielicznym), decydowały głównie jego humor i styl, zjadliwa drwina z wszystkiego i poetyka parodii.

Witkiewicz w porównaniu z tym bezwzględny szydercą, jak zwano Gombrowicza, mimo swego dowcipu, pociągu do błazenady i wyczucia komizmu, był w gruncie rzeczy poważny – wręcz śmiertelnie poważny. Widział świat w czarnych barwach, skrajnie pesymistycznie. Nie miał najmniejszych złudzeń, że zbliża się katastrofa i totalna zagłada. Był bardziej krytykiem bytu, niż krytykiem człowieka – poetą wieszczącym schyłek i zmierzch cywilizacji, a nie opisującym naturę egzystencji. Natomiast Gombrowicz – inaczej. Był jako taki, sens świata w ujęciu abstrakcyjnym mało go obchodziły; obchodził go tylko człowiek: jego zwyczaje, reakcje, zachowania, postawy, całe owo małpiarstwo, tak dziwne i niepojęte dla kogoś z innej planety. I to właśnie z tej racji był bardziej „egalitarny” – przystępny, pociągający. Lektura jego rzeczy nie wymagała jakichś szczególnych przy-

gotowań czy zainteresowań, na przykład filozoficznych, jak było to w wypadku autora *Nienasycenia*; wystarczała wrażliwość na purnonsens, groteskę, karykaturę i kpinę, wystarczał duch przekory, zgoda na deformację, upodobanie do zgrywy i krzywego zwierciadła.

Gombrowicz zasadniczo drwił z Polski przedwojennej – z rozmaitych fetyszy, aberracji i manii, będących w polskiej kulturze skutkiem fatalnej historii: ponad stu lat niewoli i walki o niepodległość. Nie wnikał on jednakże w przyczyny tych wynaturzeń, po prostu w nie uderzał. Nabijał się na przykład z modelu edukacji, która produkowała zakłamaną mentalność; albo z powierzchownego kultu nowoczesności, który również fałszował istniejący stan rzeczy; lub wreszcie z anachronicznej orientacji klasowej, która dzieliła ludzi na lepszych i na gorszych, z wyższej sfery i z nizin, na jaśniepaństwa i służbę.

Mogłoby się więc zdawać, że w Polsce powojennej, całkowicie zmienionej, i to pod każdym względem, cała owa satyra straciła rację bytu, skoro właściwie wszystko, co było jej przedmiotem, po prostu przestało istnieć. Zniknął dawny typ szkoły i program wychowania; zniknęła pretensjonalna pseudointeligencja, pozująca na ludzi idących z duchem czasu, wyzwolonych i modnych; zniknęło wreszcie ziemiaństwo i inne „wyższe sfery”, a wraz z nimi hierarchia, którą kultywowały. Naród był ogłuszony, zdziesiątkowany, zubożały. Zrównany w poniżeniu. W dodatku na ruinach tamtego dawnego świata powstawał całkiem inny: morderczy, opresyjny, bezwzględny, fanatyczny. Z partyjnym komisarzem wyposażonym w nagan i chamem na świeczniku. Do kogóż więc zjadliwe szyderstwa Gombrowicza miałyby się odnosić? A jednak zachowywały aktualność i moc. Tyle że było to skutkiem okoliczności i przyczyn wzajemnie ze sobą sprzecznych.

Gombrowicz jako pisarz, który nie wrócił po wojnie z Argentyny do kraju, lecz został na emigracji, a nadto zaczął pisać do paryskiej „Kultury” i Radia Wolna Europa, był dla władz peerelu „zdrajcą” i „renegatem”. Jednakże jako krytyk przedwojennych stosunków, a zwłaszcza jako prześmiewca polskiej tradycji szlacheckiej i innych wad narodowych był pożyteczny dla celów ludowej propagandy. Jego drwin z różnych zjawisk epoki międzywojennej można było używać do zohydzenia jej i do przekonywania, że za klęskę wrześniową i Powstanie Warszawskie odpowiedzialna jest władza wyrosła na owym gruncie i w owej atmosferze, to znaczy w kulcie fetyszy „Bóg, Honor i Ojczyzna”.

Nie mniej paradoksalne, chociaż na inny sposób, było to, że Gombrowicz nie uważał inaczej. Co więcej, zarzucał Polakom, że nie przeżyli jak trzeba marksizmu i rewolucji, że nic z nich nie pojęli, a przez to nie zmienili swojej spalonej duszy i dalej są niedojrzali.

Mógłby tu kto zapytać, czemu właściwie ten pisarz, mając takie poglądy, nie stał się faworytem komunistycznej władzy lub choćby jej pupilem, zachęcanym jak inni, na przykład Julian Tuwim, do powrotu do kraju. Otóż odpowiedź brzmi: bo władza ta, wbrew pozorom, nie była jednolita. Miała co najmniej dwie twarze czy lepiej: dwie natury, podskórnie ze sobą skłócone.

Głównym składnikiem jednej była ideologia i ślepa wiara w doktrynę. Szaleńczy idealizm o cechach fanatyzmu. To właśnie ta formacja pragnęła radykalnie „przeorać” społeczeństwo i „przekuć” je na nowe. I to dla niej Gombrowicz mógł być przydatną kartą.

Natomiast dominantą drugiej natury władzy była trywialna żądza awansu i korzyści, odkucia się za lata nędzy i upodlenia. Ta formacja z kolei nie roiła fantazji o zgodnym, idealnym społeczeństwie przyszłości ani o falansterach, ani o „szklanych domach”, ale jedynie

o tym, by się nachapać do syta, górować nad innymi i narzucać swą wolę. I chciała tego wszystkiego na modłę swojską, rodzimą, kołtuńsko-narodową, a nie jakąś tam obcą, marksowsko-leninowską. Dla tej formacji Gombrowicz nie tylko nie był przydatny – był po prostu szkodliwy: zdradziecki, antypolski.

Ponieważ te dwie natury, oficjalnie sprzężone, nieoficjalnie jednak były skonfliktowane i toczyły ze sobą skrytą, podstępłą walkę, pozycja Gombrowicza na firmamencie kultury coraz to się zmieniała, zależnie od sytuacji – od tego, co w danej chwili było komu potrzebne.

Kiedy po Październiku '56. wzięła chwilowo górę opcja „inteligentka” – neoutopistyczna, na pozór reformatorska – wydano błyskawicznie aż pięć jego tytułów: *Iwonę*, *księżniczkę Burgunda*, *Bakakay*, *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyk* i *Ślub*. Lecz gdy w kilka lat potem opcja ta poszła w odstawkę pod presją opcji „plebejskiej” – neozamordystycznej i pseudonarodowej – podjęto przeciw niemu propagandową akcję, która miała na celu zdyskredytować go w oczach krajowej publiczności. Wysłano mianowicie do zachodniego Berlina, gdzie od niedawna mieszkał, pewną sprytną damulkę ze środowiska teatru – osobę wyzywającą, przekorną, „obrazoburczą”, o buntowniczych poglądach w stylu ówczesnej lewicy (z którą Gombrowicz w tym czasie zaczął sympatyzować) – by pod pretekstem rozmów wokół jego dramatów i rzekomych zamiarów wystawienia ich w Polsce spotkała się z nim w kawiarni. Starzejący się pisarz, oszołomiony wizją tryumfalnego powrotu na grunt rodzimej kultury i nie podejrzewając, że jest to zwykły podstęp, rozmawiał z wysłanniczką swobodnie, nonszalancko, z właściwą sobie przekorą, przesadą i emfazą. A mówił między innymi o nie dość przemyślanej polskiej traumie wojennej, o płytkiej, bezrefleksyjnej, płacziwej martyrologii i o tym, że w przeciwieństwie do narodu polskiego Niemcy swe aberracje i błędy przewyciężyli.

Tego rodzaju uwagi i słowne prowokacje, stosownie spreparowane i podane do druku wzbudziły w kraju, rzecz jasna, oburzenie i protest. Publiczność literacka – w tym liczni wielbiciel talentu Gombrowicza – była zbulwersowana, dotknięta do żywego. Stosowne ośrodki władzy tylko na to czekały i wszczęły zaraz kampanię inwektyw i ostracyzmu.

Szczególnym paradoksem tej zmasowanej szarży, aby zachwiać rosnącą pozycją Gombrowicza i zabrać mu rząd dusz – szarży, trzeba podkreślić, przeprowadzonej na rozkaz plebejskich sił u władzy – było to, kto wykonał podstawowe zadanie i kto potem wziął udział w nagonce i potępieniu.

Otóż ową agentką peerelowskich służb wysłaną do Berlina była, po pierwsze, żona Konrada Swinarskiego, jednego z najwybitniejszych reżyserów w tym czasie, artysty, który w teatrze nie robił nic innego jak właśnie kultywował nauki Gombrowicza, czyli rozprawiał się głównie z narodowymi mitami, a poza tym – wszechstronna „kobieta wyzwolona”: aktorka, scenarzystka i tłumaczka zarazem, ironiczna sawantka o libertyńskich zwyczajach, krótko mówiąc, figura, której plebejska władza nie cierpiała najbardziej.

Z kolei jedną z osób biorących udział w proteście przeciwko temu wszystkiemu, co miał powiedzieć Gombrowicz, był krytyk, który go wyniósł na szczyty polskiego Parnasu i słał jego imię jako oskarżyciela polskiego zapóźnienia i polskiej niedojrzałości – głośny Artur Sandauer.

Oto więc jak się kształtował i od czego zależał wizerunek pisarza, który uchodził za mistrza gry i autokreacji – wielkiego reżysera zarówno własnego losu, jak i swego odbicia w umyśle publiczności.

A jednak mimo tych wszystkich manipulacji i fałszerstw, pisarstwo Gombrowicza, jego grymas i drwina, i wyrazisty styl, wymykało się próbom posłużenia się nim do takich czy innych celów i żyło własnym życiem, zupełnie samodzielnym, a nawet niezależnym od intencji autora, nie mówiąc o sugestiach i opiniach krytyków z jakiegokolwiek kręgu. A polegało ono, najogólniej rzecz biorąc, na nauce wątplenia – prześwietlania pozoru i demaskacji fałszu, wyśmiewania absurdów i martwych rytuałów, sztydzenia z wszelkiej sztuczności, celebry i małpiarni, a tego typu zjawiska nie były związane jedynie z tradycją narodową, lecz również, a nawet głównie z państwem socjalistycznym i władającą partią.

Gombrowicz, inaczej mówiąc, dostarczał środków obrony przed monstrualnym kłamstwem w realnym socjalizmie. Przyjmując jego postawę i ironiczne spojrzenie, można się było wydobyć, przynajmniej we własnym odczuciu, z gęstych oparów absurdu, w jakich się tkwiło na co dzień. Można je było rozpraszać owym błazeńskim językiem, jaki wykoncypował – tymi wszystkimi zwrotami, jak „przyniewalać”, „upupić”, „przyprawiać komuś gębę” lub „uciec z gębą w rękach”, i wieloma innymi, którym nadał znaczenie całkowicie odmienne od przyjętego powszechnie.

W ten sposób zaszczepiał jednak w świadomości odbiorców (oczywiście nie wszystkich, tylko podatnych na to) coś, co można by nazwać filozofią dystansu czy filozofią negacji. Czyli owo myślenie radykalnie sceptyczne właściwe nowoczesności, a więc wyzute nie tylko z przesądów i zabobonów, lecz w ogóle z wszelkiej wiary, a nawet aksjologii. Co miało naturalnie tyleż zalet, co wad. Bo z jednej strony dawało nieskrępowaną swobodę w kwestionowaniu wszystkiego (bez odpowiedzialności), a z drugiej skazywało na bezradność i lęk, i to nie tylko przed piekłem w łonie cywilizacji, lecz i przed owym drugim, poza jej granicami, piekłem samej natury.

Jak wspomniałem już o tym, tego rodzaju myślenie było właściwe i mnie. Dość wcześnie przeczytałem główny jego manifest, to znaczy *Ferdydurke*, i przyswoiłem sobie całą ową strategię przekory i negacji w konfrontacji ze światem, i wszystkie owe kody demaskujące fałsz.

Tak, nie ulega kwestii, w czasach wczesnej młodości byłem gombrowiczystą, i to dosyć żarliwym. Odnosiłem się więc z ową zimną ironią właściwie do wszystkiego. I nic nie mogło się ostać pod ostrzem mego spojrzenia – żadna myśl czy idea, żadna teza czy pogląd. Nie były wiarygodne ani treści nauki – jako uzależnione od narzędzi poznawczych, więc historycznie zmienne, ani prawdy religii – jako nieempiryczne, a zatem niesprawdzalne, ani takie lub inne systemy filozoficzne (nie licząc sceptycyzmu) – jako przeczące sobie, podważające się wzajem. Każda rzecz czy teoria zdawała się wątpliwa i tylko zachęcała, by ją wywrócić na nice.

Ten negatywizm poznawczy był w pewien sposób wygodny, a nawet atrakcyjny. Dawał poczucie przewagi względem wszelkich dogmatów, zabezpieczał przed „gębą”, czyli takim lub innym poglądem czy stanowiskiem, które z natury rzeczy było nie do obrony, i pozwalał być wolnym – wolnością dworskiego błazna. Z biegiem czasu jednakże ta postawa i gra stawała się coraz trudniejsza i zaprawiona goryczą. Bo obracała się w końcu przeciwko samej sobie i ujawniała swą marność: że jest w istocie jałowa i prowadzi donikąd. Ponieważ ciągle przeczenie, podważanie i drwina – jeśli się jest konsekwentnym – wiedzie do samonegacji i samośmieszenia. Pewnie dlatego błazen, na przekór swojej roli, to postać zazwyczaj smutna.

Lato 1967. Zdałem właśnie maturę i na uniwersytet, i miałem przed sobą długie, trzymiesięczne wakacje. Zamierzałem je spędzić jak w ciągu ubiegłych lat: częściowo nad Bałtykiem, w melancholijnym

Orłowie, częściowo pod Zakopanem, w schronisku w Tatrach Zachodnich, a częściowo u siebie, w rodzinnym domu w Warszawie.

Zwlekałem jednak z wyjazdem, aż ojciec wróci z Paryża, dokąd pod koniec czerwca pojechał na jakieś sympozjum. Była to w jego życiu pierwsza wyprawa do Francji, a w ogóle bodaj trzecia za granicę na Zachód. Dla osób bezpartyjnych, nie popieranych przez władzę, tego rodzaju podróże były wtedy rzadkością. Traktowano je więc jako coś niezwykłego – jak łaskę losu i święto – i przeżywało się je całymi rodzinami, a nawet z częścią znajomych. Szczególną chwilą tych zdarzeń, przynajmniej dla najbliższych, był dzień powrotu do domu. I nie chodziło tylko, jak mogłoby się zdawać, o takie czy inne drobiazgi przywożone w walizce, lecz głównie o wrażenia – o długie opowieści, które brzmiały jak baśnie z tysiąca i jednej nocy. Nie można więc było utracić tej wyjątkowej chwili. Dlatego właśnie czekałem, aż ojciec wróci do kraju.

Było warto, jak nigdy. Bo oprócz kilku dóbr natury materialnej, takich jak czarny pulower, elastyczne skarpetki i plastikowy długopis z wciskowym mechanizmem, a także trzy pudełka szlachetnych serów pleśniowych i butelka burgunda, którą miało się wypić w nieokreślonej przyszłości z jakiejś szczególnej okazji, ojciec przywiózł mi jeszcze – można rzec: heroicznie, bo było to zakazane – wydany w „Kulturze” *Kosmos*. Wiązała się z tym zresztą piętrowa anegdota.

Otóż gdy raz przechodził koło księgarni Libella (słynnej polskiej księgarni na wyspie świętego Ludwika, tuż przy Hotelu Lambert), spotkał tam na ulicy swego byłego studenta, który mieszkał w Paryżu już od dziesięciu lat – odkąd uciekł na Zachód i poprosił o azyl. To on pierwszy, rzecz jasna, spostrzegł ojca i podszedł, i zaczął się przypominać. Ojciec w pierwszym momencie nie bardzo go pamiętał, lecz w końcu przypomniał sobie, a nawet, ku zdumieniu dawnego

podopiecznego, wymienił tytuł pracy, którą ten niegdyś pisał. Eks-student na te słowa rozplynął się ze wzruszenia i zaczął nalegać na ojca, by dał się zaprosić na obiad lub przynajmniej na kawę.

Ojcu nie było to w smak. Miał inne rzeczy w planie i nie chciał z nimi zwlekać. Ale nie to stanowiło jego główną obiekcję. Ta wynikała raczej z nadmiernej ostrożności, mającej swe korzenie w doświadczeniach wojennych, a potem jeszcze wzmocnionej w okresie stalinowskim. Bo zdawał sobie sprawę, że kontakt z osobami, które uciekły na Zachód, jest bardzo źle widziany przez bezpiekę w Warszawie i jakikolwiek ślad po nim może fatalnie skutkować – co najmniej odmową paszportu przy kolejnej okazji. A na ślady czy echa niestety nie ma się wpływu. Nie można przecież nikogo zmusić do tajemnicy, a także wykluczyć tego, że jest się właśnie śledzonym przez jakąś trzecią osobę lub choćby tylko widzianym przez kogoś przypadkowo. No, a poza tym jeszcze, czy można mieć gwarancję, że spotkany emigrant, z najrozmaitszych powodów, nie współpracuje z wywiadem? A więc że sam nie sporządzi odpowiedniej notatki o fakcie i treści spotkania? I wreszcie: czyż różni ludzie, znajomi i nieznanymi, wracający z wojaży i bardziej bywali w świecie, nie wspominali nieraz, że tajni współpracownicy zasadzają się właśnie w pobliżu polskich księgarni i kiedy tylko zobaczą, że ktoś przed nimi przystaje i ogląda witrynę, próbują nawiązać kontakt i wplątać go w kabałę?

Owszem, mówili, mówili. W kółko się tym straszono. Ale jeśli się ma choć odrobinę honoru, nie można się przed tym ugiąć. Jak by to wyglądało, gdyby poważny człowiek – uczony, humanista, profesor wyższej uczelni – uchylał się od kontaktu ze swoim byłym studentem wskutek psychozy strachu? Trzeba by nie mieć wstydu, by tak się zachowywać. To właśnie z tego powodu ojciec porzucił skrupuły i dał się zaprosić na kawę.

Krótką rozmowa w barze była lekka i miła. Nie zatraçała w ogóle o tematy drażliwe, to znaczy polityczne. Zresztą głównie rozprawiał zapraszający eks-student. Wyraźnie chciał się nagađać i prawie o nic nie pytał. Dopiero pod koniec rzekł coś, co w ojcu wzbudziło czujność. Wyjawił mianowicie, że pracuje w Libelli – tak, właśnie w tej księgarni, pod którą się spotkali – i chętnie mu sprezentuje kilka wybranych tytułów.

„Z puli gratisów na kraj, jak to tu nazywają”, wyjaśnił z chytrym uśmiechem. „Trudno o bardziej godne i zaufane ręce”, dorzucił przy pochlebnie.

Ojciec nie podejrzewał, że jest to jakiś podstęp, nie zdecydował się jednak na przyjęcie gratisów. Wymówił się oświadczając, że ma przed sobą jeszcze długie krązenie po mieście, nim wróci do hotelu, więc nie chce się obciążać nawet tak cennym darem. Podziękował i poszedł. Nie zdążył jednak odejść więcej niż kilka kroków, gdy usłużny eks-student znów go dopadł zdyszany i wręczył mu kopertę z jakimś niewielkim tomem.

„To na pamiątkę spotkania”, mówił, gnąc się w lansadach, „i w dowód mojej wdzięczności za dawne lata studiów”.

„A co to jest?”, spytał ojciec, udając podejrzliwość.

„Nie ma obawy, nic złego”, wyjaśnił ofiarodawca. „Najnowszy Gombrowicz. *Kosmos*. Naprawdę znakomite”.

Ojciec zajrzał do środka, pokiwał ze znawstwem głową i ruszył w dalszą drogę.

Zastanawiał się później, czy brać to jednak ze sobą. Przecież kontrola graniczna nie zwracała uwagi na nazwisko autora i tytuł wiezionej książki – te dane funkcjonariuszom z reguły nic nie mówiły; zwracano uwagę jedynie na status wydawnictwa: czy jest emigracyjne, to

znaczy „bezdebitowe”. Instytut Literacki – wydawca Gombrowicza – był oficyną trefną, więc jego publikacji nie wolno było posiadać. A skoro nie wolno było, znaleziony egzemplarz podlegał konfiskacie. Groziła za to jeszcze kara za próbę przemytu.

Mimo ryzyka jednak ojciec zabrał ze sobą podarowaną książkę. Zdecydował się na to przede wszystkim dlatego, że zaczął już ją czytać i na tyle się wciągnął, że chciał po prostu skończyć. A poza tym usłyszał, że gdy się jedzie sypialnym, a takim właśnie miał wracać, przewóz „książek zbójcekich” (jak zwano ironicznie słowami Mickiewicza pozycje paryskiej «Kultury») – zwłaszcza jednego tomu – jest znacznie mniej ryzykowny. Tom trzeba mianowicie obłożyć jakimś papierem, najlepiej kolorowym, i wziąć go ze sobą do łóżka. A przed kontrolą graniczną wsunąć pod prześcieradło lub ukryć pod poduszką. Rzadko się zdarza, by celnik rewidował posłanie.

Ojciec skorzystał z rady i postępował w podróży ściśle według instrukcji. Jego przezorność i rygor okazały się jednak całkowicie zbytuczne, a nawet śmiechu warte. Bo kontrola graniczna przybrała najzupełniej niespodziewany obrót. A to za sprawą serów – wykwintnych serów pleśniowych – kupionych tuż przed wyjazdem w paryskiej garmażerii. Choć ojciec bardzo starannie zawinął je w pergamin i umieścił aż w kilku torebkach plastikowych wkładanych jedna do drugiej i szczelnie zamykanych, ich szlachetny aromat przenikał przez te warstwy, i to tak agresywnie, że celnika w przedziale po prostu zamurowało.

„Co tu tak śmierdzi!”, mruknął. „Panowie, trochę kultury!”

„Staramy się”, rzekł ojciec ni to żartem, ni serio, bawiąc się skojarzeniem z ukrytą w pościeli książką. „Ale co można zrobić! Okno zablokowane”.

„Są wucety”, rzekł celnik i podbiwszy papiery, opuścił pośpiesznie przedział, nie robiąc żadnej kontroli.

– Nie jest to wprawdzie dzieło na miarę *Liryków lozańskich* ani tym bardziej *Dziadów* – ojciec kartkując książkę, kończył swoją opowieść – ale, przyznaję, ciekawe. Chociaż zarazem dziwaczne i jakoś denerwujące. Ale, jak znam twój gust, tobie się będzie podobać.

To właśnie w taki sposób zostałem posiadaczem egzemplarza *Kosmosu*.

Choć obiecałem sobie, że zacznę czytać dopiero po przyjeździe na miejsce (na rozległym tarasie z widokiem na Zatokę), to jednak nie wytrzymałem i sięgnąłem po tom (wciąż owinięty w papier maskujący okładkę) już w pociągu do Gdyni.

Lektura – tak jak ojca – wciągnęła mnie natychmiast, dosłownie od pierwszych stron czy wręcz od pierwszych zdań. Z początku za sprawą stylu, nieco innego niż ten, jaki znałem z poprzednich powieści Gombrowicza – stylu eliptycznego, rwanego, „konspektowego”; jakby to było pisane szkicowo, byle jak – pod dyktando bezładnej pamięci czy wyobraźni. Dane z różnych porządków – faktów, percepcji, refleksji – mieszają się ze sobą jak w loteryjnym bębnie, oddzielone od siebie zaledwie przecinkami. Ta lawina słów-haseł kojarzyła się z pracą rozchwianego umysłu, który nie radzi sobie z natłokiem bodźców i wrażeń lub ma gonitwę myśli.

Lecz był to, jak powiadam, jedynie pierwszy haczyk. Lektura wciągała głównie ze względu na sam świat, który wyłaniał się szybko z tych tasiemcowych zdań, a ściślej: przedstawiona sytuacja wyjściowa, będąca załączkiem akcji.

Oto bohater-narrator, 22-letni student, prawdopodobnie portret samego Gombrowicza z czasu jego młodości i jego *porte-parole* (przy-

najmniej na imię ma Witold), z bliżej nieokreślonych a zagadkowych przyczyn („skąd, jak, dużo by gadać”) opuszcza nagle Warszawę, gdzie mieszka z rodzicami, i w pewien upalny dzień łąduje w Zakopanem. Spotyka tam na ulicy swojego znajomego o wieloznacznie brzmiącym, śmiesznym nazwisku Fuks, który zdobył już adres jakiegoś „taniego dworku” i proponuje, by wspólnie skorzystać z tej oferty. Ruszają więc tam razem, lecz wyczerpani podróżą i nieznośnym upałem, zarzucają ów cel na rzecz innej kwatery napotkanej po drodze. Niby kieruje ich do niej tabliczka z ogłoszeniem zatknięta na płocie posesji, lecz to, że właśnie na nią, a nie na jakąś inną z kilku widzianych wcześniej zwracają oni uwagę, nie jest już oczywiste ani tym bardziej banalne. Następuje to bowiem tuż potem, gdy w kępie drzew natykają się naraz na coś „ekscentrycznego”, a mianowicie na wróbla wiszącego na drucie – na nieżywego wróbla, którego niewątpliwie ktoś w ten sposób powiesił. Nie powiedziane jest wprawdzie, że ten drobny incydent o makabrycznym posmaku ma jakiś wpływ na decyzję znużonych bohaterów, by zrezygnować z dworku na rzecz przypadkowej kwatery, która się oto nastrecza, niemniej takie są fakty – takie następstwo zdarzeń, a ono z kolei, *ex-post*, odgrywa istotną rolę. Bo owa „anomalia” w postaci martwego wróbla wiszącego na drucie – jak omen w powieści grozy – naznacza cały pobyt bohatera w tym domu piętnem obsesji czy manii, a wreszcie śmiercią człowieka – jednego z domowników – właśnie przez powieszenie.

Chodzi o to, że akcja rozwija się od tej chwili poniekąd pod dyktando owej nienormalności. Bohater, „sparzony” nią, zaczyna patrzeć na świat nieco inaczej niż zwykle – uważniej, jakby nieufnie czy nawet podejrzliwie, dopatrując się znaczeń tam, gdzie zapewne ich nie ma.

Ten stan nadwrażliwości zostaje spotęgowany przez bodźce erotyczne. Bohater w owym domu, w którym przypadkiem się znalazł, spotyka dwie kobiety: „zażywną” służącą Kasię – o ustach zeszpeco-

nych wskutek jakiegoś wypadku, i córkę gospodarzy, młodą mężatkę Lenę – o ustach powabnych, „anielskich”. Te dwie kobiety od razu wzbudzają w nim niepokój. Bohater nie nazywa go wprawdzie po imieniu – w ogóle mówi językiem dziwacznym, aluzyjnym, wyrażającym emocje i pragnienia nie wprost – jest jednak oczywiste, że chodzi tu o namiętność: o pożądanie i afekt. Wszelako jego obsesja ma szczególny charakter. Nie polega na pasji i niezaspokojeniu, lecz raczej na konflikcie między żądzą a wstrętem wobec jej sublimacji, czyli syndromu miłości.

Bohatera urzeka „niewinny” powab Leny, lecz cierpi on nie dlatego lub nie tylko dlatego, że ta z różnych powodów jest dlań nieosiągalna. Cierpi on głównie dlatego, że samo to uczucie budzi w nim wstręt i opór. A dzieje się tak dlatego, że ma je za niedorzeczne – kłamliwe i daremne. Nie widzi żadnej formy, w której by miało się spełnić. Zaspokojenie zmysłów nie czyniłoby zadość, a egzaltacja – śmieszna, upokarzająca, poniżająca. Z kolei nadpobudliwa, wygłodniała Katarisia (wymowny jest jej obyczaj wbijania ostrych przedmiotów w cokolwiek ma pod ręką) pociąga bohatera domniemaną łatwością na tle jej staropanieństwa i nieatrakcyjności, lecz jednocześnie odstręcza brzydota i nieobyciem.

Ten splot dręczących emocji i sprzecznych wewnętrznie pragnień skutkuje działaniem zastępczym. Bohater bawi się w śledztwo, układa na żywo kryminał – że niby szuka tropów do wyjaśnienia zagadki powieszonoego wróbla, a nawet czegoś więcej: rzekomej tajemnicy, która się kryje w tym domu. W rzeczywistości zaś spełnia perwersyjne fantazje, by słodkie usteczka Leny „skojarzyć” z ustami Katarisi, aby „skazić” je nimi; aby z Leną przeżywać wynaturzenie Katarisi.

Do pewnego momentu wszystko to się rozgrywa wyłącznie w wyobraźni – w myślach, słowach, rojeniach. Z biegiem czasu jednakże

wymyka się spod kontroli i przeobraża w czyny. Pod nieobecność Katasi bohater samowolnie kontroluje jej pokój; coraz śmielej osacza enigmatyczną Lenę; podgląda ją przez okno, wdrapawszy się na drzewo. Wreszcie w nagłym odruchu szaleńczo dusi jej kota i wieszaga na sznurku – w ślad za wiszącym wróblem i patykami na nitce.

Ten akt, bez względu na to, co jest jego motywem – desperacja, szaleństwo – zmienia porządek rzeczy. Ponieważ jego skutek, nie wyjaśniony przez sprawcę nikomu z otoczenia, stwarza wrażenie sensu: że wiszące przedmioty nie wiszą przypadkowo, lecz z mocy jakiejś reguły – że działa tu prawo serii, podczas kiedy faktycznie sensu takiego nie ma lub jest zupełnie inny, choć nikomu nieznan.

W dalszym ciągu powieści na pierwszy plan się wysuwa postać Leona Wojtysa, gospodarza posesji i ojca „powabnej” Leny. Ten osobliwy typ, eks-urzędnik bankowy i domorosły myśliciel, mówi dziwnym językiem, pełnym neologizmów, zdrobnień i przeinaczeń, co zresztą sam podkreśla w ów bełkotliwy sposób, że „dziwoląży” mową i igra „słowostworem”. Poza tym siedząc przy stole, bawi się maniakalnie drobnymi zajęciami: a to zaplata w warkocz ozdobne frędzle serwety, a to z kawałków chleba „fabrykuje gałeczki”, po czym pieczołowicie ustawia je przed sobą i posypuje solą, a to szpic wykałaczki wtyka w dziurki obrusa, nie mówiąc o banalnym kręceniu młynka palcami. I wszystko to wykonuje z nadzwyczajną powagą, jakby te błahе czynności znaczyły coś więcej, niż znaczą. Chętnie też dyskutuje ze swoim zięciem Ludwikiem, statecznym inżynierem i wyznawcą nauki, na temat racjonalizmu i zdolności rozumu do panowania nad światem.

W jego snutyach przy stole bełkotliwych gawędach coraz częściej i mocniej pojawia się kwestia „frajdy” będącej kryptonimem rozkoszy i satysfakcji, jakie ludzka istota może w życiu osiągnąć, stosując

się do mądrości i nauk Epikura. Wyznaje on aluzyjnie kult autoero-tyzmu jako najlepszej metody zaspokojenia potrzeb nie-do-zaspoko-żenia i wyzwolenia się z pragnień, które są źródłem cierpień. I na tle tych rozważań i prowokacji słownych („berg” i „bembergowanie”, „swój do swego po swoje”, „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”) proponuje zebrany – letnikom i domownikom – a także dwóm młodym parom, zaprzyjaźnionym z Leną: Lulusiom oraz Tolom, wycieczkę w „prawdziwe góry”, do domku na wyżynie, a tam – przechadzkę o zmierzchu do miejsca „największej frajdy”, jaka mu się zdarzyła „dwadzieścia siedem lat temu”. Wyprawa ta jest finałem i puentą całej akcji.

Nabrzmiała atmosfera gęstnieje i sięga zenitu. Tolowie i Lulusiowie, będący uosobieniem trywialnej normalności i bezmyślnej konwen-cji, ostro wyjaskrawiają wynaturzenie innych: piętno ich osobności i wyizolowania. Po drodze do towarzystwa dołącza jeszcze przypadkiem jakiś zbłąkany ksiądz, który tłumaczy mętnie, że „zgubił się w dolinie”, i swoim obleśnym obejściem pogłębia niezdrowy nastrój.

Bohater pod wpływem tych wszystkich wypadków i obserwacji, a także nadmiaru wrażeń, które go bombardują, zdaje się coraz bardziej zmaćony i bliski obłądu. Jego obsesja sensu i mania szukania we wszystkim jakichś ukrytych znaczeń osiąga stan krytyczny, para-lizuje mu wolę: nie daje przejść leśną ścieżką, bo przecież od tego, czy przejdzie „z lewej czy z prawej strony niedużego kamyka, który leży pośrodku”, prawdopodobnie zależy przyszłość całego świata.

I rzeczywiście, już wkrótce dochodzi do czegoś takiego, co burzy porządek rzeczy. Bohater podczas spaceru natyka się w kępie drzew na wiszącego Ludwika, który prawdopodobnie – ni stąd, ni zowąd, nagle – popełnił samobójstwo. Można by się spodziewać, że ten upiorny fakt – sam makabryczny widok – otrzeźwi bohatera; że wyrwie

go nareszcie ze stanu zamroczenia, w jaki stopniowo popadł, folgując swoim natręctwom. Tymczasem nic podobnego, a nawet wręcz przeciwnie: pcha go dalej w szaleństwo – w perwersję, profanację. Sprawia, że wbrew przerażeniu, instynktownej odrazie i oporom psychicznym zagląda trupowi w usta, a wreszcie wsadza w nie palec, by tym gestem „połączyć” fenomen ust z wieszaniem. Po czym z „zadowoleniem, że spełnił swój obowiązek” wraca do towarzystwa, nie mówiąc nikomu o niczym. Co więcej, snuje myśli o powieszeniu Leny („A teraz trzeba będzie powiesić jeszcze Lenę”), a w końcu dopuszcza się gwałtu na oniemiałym księdzu, ni stąd, ni zowąd i jemu wkładając palec w usta – bez słowa, siłą, brutalnie.

Grupa wycieczkowiczów pod przewodnictwem Leona dociera tymczasem na miejsce jego „największej frajdy”, gdzie ten w obecności wszystkich, tyle że skryty w ciemności, odprawia swoją „mszę”, swój lubieżny rytuał, zwany przez niego „bergiem” albo „bembergowaniem”, czyli – ni mniej, ni więcej – onanizuje się.

Opowieść kończy się skrótem jak diabolicznym *glissandem*. Narracja bohatera przeradza się w słowotok, w chaotyczny ciąg myśli, obrazów i informacji, które nie mówią jednak, jak owa „dziwniejsza historia” właściwie się skończyła. Kto krył się za wieszaniem? Dlaczego powiesił się Ludwik? Czy ktoś mu w tym dopomógł? I jakie ta śmierć lub zbrodnia wywołała następstwa? W ostatnich liniach tekstu powiedziane jest tylko, że z powodu ulewy wywiązał się „katar, gorączka”, a „Lena dostała anginy” i pobyt w Zakopanem jak nagle się zaczął, tak skończył.

„Wróciłem do Warszawy”, powiada narrator na końcu. „Rodzice, znów wojna z ojcem i inne tam rzeczy, problemy, komplikacje, trudności”. I dodaje że „dziś”, czyli w dniu, w którym kończy opowiadać historię, na obiad, na drugie danie „była potrawka z kury”.

Tak brzmią ostatnie słowa tej „narkotycznej” powieści.

Uniosłem wzrok znad tekstu i spojrzałem na morze. (Książkę skończyłem czytać już na tarasie w Orłowie). Daleko, na horyzoncie majaczył przylądek Helu. Płynął w tamtym kierunku wycieczkowiec „Mazowsze”.

Nie tak to wyglądało? – pomyślałem od razu – gdy w trzydziestym dziewiątym, w popołudnie lipcowe, wypływał tędy „Chrobry”, pamiętny transatlantyk, w swój rejs do Argentyny, uwożąc Go stąd na zawsze? Pewnie na tym odcinku – zaraz po wyjściu z portu – stał na jednym z pokładów i patrzył na wybrzeże, czyli właśnie w tę stronę. Bo któż by ruszając w podróż, w dodatku tak daleką i po raz pierwszy w życiu, oparł się tej pokusie? Któż by w takim momencie nie został na pokładzie, by spoglądać na ląd, jak oddala się wolno, aż zniknie za horyzontem? By żegnać się z nim w ten sposób. Tak, nawet on, Gombrowicz, zagorzały szyderca.

Czyż nie szykował się długo do owej eskapady? I niezależnie od tego, dokąd jechał i po co, nie miał przy tej okazji ujrzeć pierwszy raz morza? Czyż jego towarzysz podróży, pisarz Czesław Straszewicz, nie wspominał po latach, jak w przeddzień wyjazdu z Gdyni poszli razem na molo, bo „ten ziemianin spod Kielc i szczur lądowy z Warszawy” nie widział nigdy morza i chciał je wreszcie zobaczyć? I jak wpatrując się w dal, mówił niby przekornie, a jednak z niepokojem, że z tej ich konfrontacji z takim ogromem wody „nic dobrego nie wyjdzie”.

Tak więc w owym momencie – mniej więcej w pół godziny po odbiciu od brzegu – z pewnością stał na pokładzie i, oparty o reling, spoglądał gdzieś w te strony.

Uzmysłowiłem też sobie, że o czymkolwiek myślał, kiedy tak stał i patrzył na malejący ląd, wiózł już ze sobą wspomnienia, które stały

się z czasem inspiracją *Kosmosu*. Bo że ta powieść ma podtekst czy wymiar autobiograficzny, więcej, że jej genezą są pewne przeżycia z młodości, nie ulegało kwestii. A więc że już tam wtedy, na wodach Zatoki Gdańskiej, miał w głowie owo coś, co w literackiej formie – dwadzieścia osiem lat później – leżało oto przede mną jako książka „Kultury”.

No właśnie, lecz czym to było? Zarówno to rzeczywiste, pierwotne doświadczenie, jak i owo fikcyjne, przetrawione przez umysł i przetworzone w opowieść? O czym właściwie jest *Kosmos*? Co to wszystko oznacza?

Byłem jak zaczadzony. Lektura tego tekstu działała odurzająco. Ów duszny, chorobliwy, wynaturzony świat przytłaczał i prześladował. Nie dawały spokoju zarówno przedstawione postaci i zdarzenia, jak również, czy przede wszystkim, pokrętne myśli i język głównego bohatera, krótko mówiąc, on sam jako źródło przekazu.

Kto to właściwie jest? Neurasteniczny młodzieniec z drobnymi odchyleńkami? Autystyczny neurotyk, lecz wciąż w granicach normy? Czy jednak już ktoś „poza” – kliniczny psychopata? Bo póki wchodzi w grę tylko owo natręctwo doszukiwania się sensu, gdzie zapewne go nie ma, a nawet o sprzeczne uczucia natury erotycznej (gwałtowne pożądanie, awersja do miłości, masochistyczny pociąg do brzydoty i świństwa), to jest to jeszcze niewinne. Lecz kiedy wchodzi w grę zdolność zabicia kota – bez żadnego powodu, i to własnymi rękami – a także atrofia uczuć w obliczu kogoś martwego (w dodatku powieszono, a przy tym znajomego), więcej: brak czci wobec trupa, wręcz profanacja zwłok, a wreszcie fantazjowanie czy nawet planowanie, by znowu, bez powodu albo z powodu miłości powiesić kolejną osobę („A teraz trzeba będzie powiesić jeszcze Lenę”), to nie jest to już normalne, przynajmniej w świecie wartości naszego kręgu

kultury. A skoro nie, to narrator nie jest już tylko odmieńcem – ekscentrykiem żyjącym na peryferiach zwyczajów – lecz radykalnym odstępca od norm cywilizacji, przypadkiem klinicznym, dewiantem.

Co miałyby to znaczyć? Co Gombrowicz chciał przez to...? Do czego był mu potrzebny akurat taki narrator?

Na razie nie potrafiłem wyjaśnić sobie tego. Żyłem wciąż pod wrażeniem samej materii fikcji, a więc tych wszystkich obrazów, wydarzeń i postaci, a zwłaszcza ich słów i myśli, i dusznej atmosfery perwersji i tajemnicy. W niesamowity sposób udzielała się również nadwrażliwość poznawcza – owo zwracanie uwagi na rozmaite detale w otaczającym świecie, które zwykła percepcja pomija lub lekceważy. Na przykład na przedmioty w nieoczywistych miejscach: na pojedynczy but leżący gdzieś przy drodze albo cynową łyżkę połyskującą w potoku. Jak tam trafiły? Dlaczego? Jaka jest ich historia?

Tego rodzaju myśli, wywoływane widokiem osieroconych przedmiotów, odrywały się z czasem od owych przygodnych przyczyn i rozszerzały swój zasięg na całą rzeczywistość. Raz nastrojony w ten sposób mechanizm postrzegania prześwietlał odtąd wszystko, co jawiło się oczom; przesunął rzeczy w czasie, cofając je jak na filmie przewijanym do tyłu. Kamyki na wybrzeżu wyrzucane przez fale, ziarenka piasku na plaży, suche gałęzie bez kory wracały w wyobraźni do jakichś punktów wyjścia – do coraz większych całości, do których należały. A wtedy te całości – potężne monolity, jak skały, wody, powietrze, jak plazma płonących gwiazd – rozpadały się w pył cząstek już niepodzielnych – najmniejszych, elementarnych – które się miały wyłonić w nagłym akcie stworzenia, jeżeli taki był.

Te doświadczenia myślowe – stopniowe rozkładanie postrzeganego świata na coraz prostsze formy, redukcjonowanie go do domniemanych

pierwiastków i podstawowych składników, aby sprowadzić wszystko do jakiejś niepodzielnej, jednorodnej substancji – dowodziły jednego: że rzeczywistość przerasta możliwości umysłu; że umysł nie może jej sprostać, i to na żadnym poziomie – percepcji, inteligencji, pamięci, intelektu. Inaczej mówiąc, umysł, uznający sam siebie za funkcję najbardziej złożonej konstrukcji materialnej, o jakiej w ogóle wie, czyli ludzkiego mózgu, nie radzi sobie z bytem, na który się otwiera. Byt z jego perspektywy jawi się jako chaos. Nie daje się przeniknąć, wyjaśnić, zapamiętać, nie daje się przewidzieć – słowem, nie daje poznać. I kto wie, czy nie to właśnie miał na uwadze Szekspir, wkładając w usta Makbeta pamiętne zdanie o życiu: że to opowieść idioty, pełna furii i wrzasku, i pozbawiona sensu.

Ta słynna złota fraza podsunęła mi myśl, jak podejść do *Kosmosu* – w jaki sposób go czytać – by całe to „równanie” dało się w końcu rozwiązać, a przynajmniej przestało być tak enigmatyczne.

Otóż mimo dość silnej wiarygodności narracji – że jest to niby relacja określonego człowieka z jakichś wypadków i przeżyć, które pewnego lata stały się jego udziałem – należy odrzucić tę opcję, uznać ją za iluzję i potraktować całość przerośnie, parabolicznie. A mianowicie jako przypowieść o człowieku „poza dobrem i złem”, poza wędzidłem kultury – człowieku hipotetycznie czy eksperymentalnie wyrwanym z cywilizacji, którą chcąc nie chcąc stworzył i w której ryzach tkwi.

Ten właśnie świat rygoru – zakazów i nakazów, praw, form i obyczajów reprezentuje w powieści dom rodzinny Witolda (arena „wojny z ojcem”), a szerzej miasto, gdzie mieszka i pędzi nużące życie („byłem zmęczony rodziną”), pełne „problemów”, „trudności”, „kompliakcji” i „chryj”. Natomiast świat swobody – niejako pierwotnej woli, nie skrepowanej niczym, nieokiełznanej, ślepej – wyobraża pensjonat w pobliżu

„dzikich” gór: siedziba wypoczynku, czasoprzestrzeń wakacji, kiedy to wszelkie troski, obowiązki i praca zostają zawieszono i odsunięto na bok.

Cała opowieść więc to przedstawiony w formie realistycznej fabuły eksperyment myślowy mający na celu zbadać – dociec i unaocznioć, kim albo czym jest człowiek wyzwolony z kultury: z wielorakich pancerzy, gorsetów i kostiumów, które na siebie nałożył, z premedytacją lub nie, uznając jednak zawsze, że dokonuje wyboru.

Otóż ta medytacja nie pozostawia złudzeń co do zdolności poznawczych i rozumności człowieka, ukazując w zbliżeniu, niejako *in flagranti*, pracę jego umysłu i motywy działania. W świetle tego oglądu jawi się on wyraźnie jako ktoś obłąkany, niepoczytalny, zmacony, nie panujący nad światem ani nad samym sobą. Jest wypadkową wrażeń, iluzji i popędów, zlepkiem komórek i naczyń, a zwłaszcza zwojów nerwowych, w których ślepa natura – nieludzka, amoralna – odprawia tajemny swój sabat. Człowiek ani nic nie wie, ani nic nie rozumie. Jest ofiarą ułudy i wiecznym marzycielem wierzącym w istnienie prawdy i w to, że da się ją odkryć, a jednocześnie kimś, kto samym postrzeganiem falsyfikuje świat, nie mówiąc o spekulacjach snutyh na tej podstawie. A to jeszcze nie wszystko. Bo przecież człowiek w ślad za tym – na mocy absolutnie nieprawomocnych przekonań – przekształca rzeczywistość, a w niej samego siebie, i pcha w ten sposób świat ku nie wiadomo czemu. Wydaje mu się, że myśli i że myślenie ma sens: ponieważ tropi prawdę, a może ją nawet odkrywa. W istocie wcale tak nie jest. Rozum nie jest „rozumny” i nie ujawnia niczego, co byłoby wiarygodne.

Oto ile jest warte owo kluczowe pojęcie naszej cywilizacji, ten nasz mityczny „kosmos” – drwi swym tytułem Gombrowicz – oto co za nim się kryje. Ładny mi sens! Porządek! Doprawdy, harmonia sfer! To jeden wielki absurd. To opowieść idioty.

PRELEKCJA *ANTONIEGO LIBERY*

10 grudnia 2019 roku na Uniwersytecie w Białymstoku gościł znany pisarz, reżyser, znawca twórczości Samuela Becketta, tłumacz i eseista – Antoni Libera. Na prelekcję mistrzowską zatytułowaną *Moje potyczki z Gombrowiczem* do auli Wydziału Filologicznego przybyły tłumy studentów, doktorantów, wykładowców, uczniów szkół średnich i nauczycieli, a także mieszkańców Białegostoku – miłośników twórczości Libery. Liczba zgromadzonych przekroczyła niemałe możliwości Sali wykładowej tak, że zabrakło miejsc siedzących, a słuchacze zasiedli na parapetach okien i na podłodze. Pisarza powitał na Wydziale Filologicznym jego dziekan, prof. Jarosław Ławski. W auli prelegenta zapowiedział dr Krzysztof Korotkich, współredaktor cyklu „Prelekcji Mistrzów”. Po oficjalnym powitaniu prelegent dokonał wprowadzenia, zarysowując koncepcję swego wykładu. Spotkanie było rejestrowane przez Telewizję Polską oraz przez studentów polonistyki. Po zakończeniu wykładu studenci specjalności dziennikarskiej przeprowadzili z Antonim Liberą wywiad, który zostanie opublikowany w czasopiśmie Wydziału Filologicznego Nie-regularnik Naukowo-Literacki „Próby”.

Publikowany wykład posiada zmieniony tytuł, autor zdecydował, że będzie to *Radykalny sceptycyzm*, podkreślając być może bardziej

osobisty charakter tekstu, nieco mniej niż w czasie wykładu związany z Gombrowiczem.

Przewodnim motywem prelekcji był *Kosmos*, ostatnia powieść Witolda Gombrowicza, ukazana przez Liberego – jednego z pierwszych interpretatorów tego utworu – jako dzieło wieloznaczne, wciąż wzywające do nowych odczytań. *Kosmos* to przede wszystkim utwór ukazujący specyficzną, bardzo zindywidualizowaną wizję życia, która zarazem okazuje się wizją wszechświata. Pisarz ukazuje *Kosmos* jako dzieło ważne na tle spuścizny Gombrowicza, będące swego rodzaju kluczem do lektury innych tekstów autora *Ferdydurke*.

Libera nie dokonał jednakże „zwyczajnej” interpretacji powieści Gombrowicza, ale wkomponował utwór we własną biografię, wplatając w narrację, historię wyjazdu do Francji jego ojca, Profesora Zdzisława Libery, który w niecodziennych okolicznościach stał się właścicielem utworu. Wykład Antoniego Libery ukazał tym samym inny plan wydarzeń, ważny dla niego samego, stał się swego rodzaju analizą kształtowania własnej tożsamości, światopoglądu, zainteresowań literackich, a także relacji łączących go z ojcem i z jego pokoleniem. Paralelność treści, wpisanej w dzieło literackie oraz w realny życiorys, przypomina o innym wymiarze literatury, takim, który jest zdolny opisać kosmos ludzkich problemów, ale też niewymownych pragnień, tęsknot, samotności i innych ponadczasowych tematów.

Prelekcja mistrzowska Antoniego Libery wzbudziła wielkie zainteresowanie słuchaczy, którzy rozpoczęli równie interesującą rozmowę z prelegentem. Padły pytania o Gombrowicza i jego szanse na Nagrodę Nobla, o Samuela Becketta, a także o tłumaczenia Libery i prace, którymi pisarz zajmuje się aktualnie. Po zakończonym dialogu z publicznością Mistrz sporo czasu poświęcił na podpisywanie swoich książek, a także na wymianę zdań z wielbicielami jego twórczości.



Antoni Libera w trakcie głośzenia prelekcji w Auli Wydziału Filologicznego UwB, 10 XII 2019 r.



Dr Krzysztof Korotkich wita Antoniego Liberę na Auli Wydziału Filologicznego



Aula wypełniona słuchaczami czekającymi na wykład



Słuchacze na prelekcji Antoniego Libery



Uczniowie białostockich szkół średnich wśród słuchaczy prelekcji



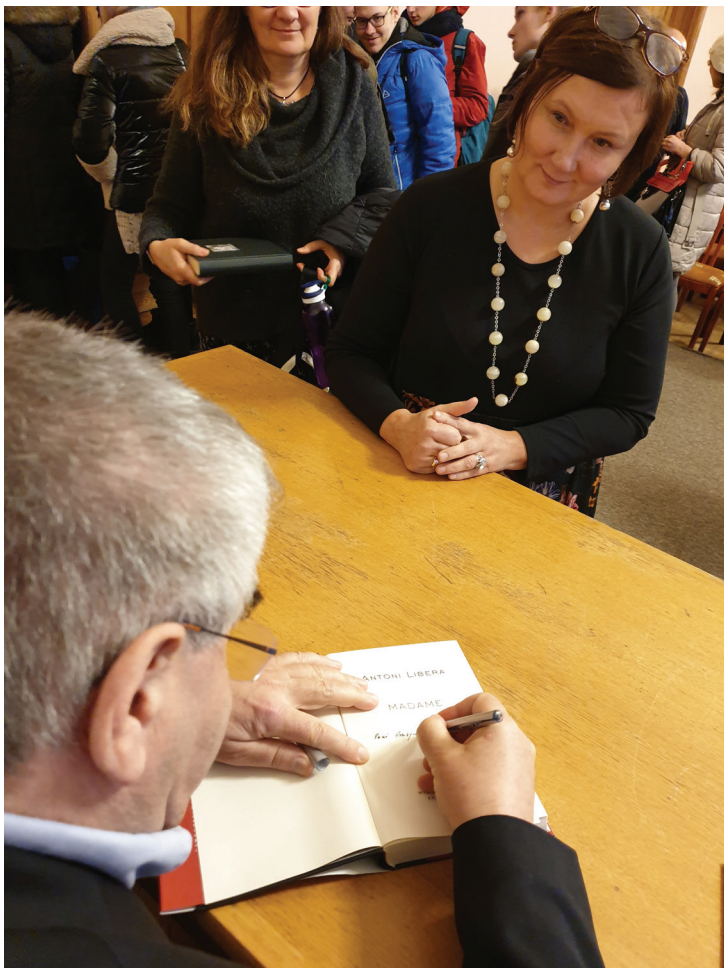
Telewizja Polska rejestruje wykład Antoniego Libery



Dziennikarze telewizji TVN w trakcie rozmowy z uczestnikami wykładu



Jedno z pytań po wykładzie zadaje mgr Konrad Szczebiot



Antoni Libera podpisuje powieść *Madame* dr Grażynie Dawidowicz



Spotkanie Antoniego Libery przed wykładem z dziekanem Wydziału Filologicznego prof. Jarosławem Ławskim



Na wykładzie byli obecni doktoranci, tu mgr Anna Artysiewicz

ANTONI LIBERA

Urodził się w 1949 r. w Warszawie. Jego ojciec był historykiem literatury, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego; matka, filolog klasyczny, uczyła łaciny i historii starożytnej w warszawskim liceum ogólnokształcącym, które ukończyło wielu znanych później przedstawicieli życia kulturalnego i publicznego.

Uczęszczał do szkoły muzycznej, a po maturze studiował filologię na Uniwersytecie Warszawskim, którą ukończył w 1972 r., złożony pracę na temat powieści Gombrowicza *Kosmos*. W 1984 r. doktoryzował się w Instytucie Badań Literackich PAN na podstawie rozprawy poświęconej twórczości Samuela Becketta.

W latach 1969–1989 uprawiał krytykę literacką i eseistykę, koncentrując się coraz bardziej na dziele irlandzkiego noblisty. Wybór swoich szkiców literackich opublikował w tomie *Błogosławieństwo Becketta* (Sic! 2004).

Jako tłumacz przyswoił polszczyźnie wszystkie dramaty Becketta, a także liczne jego utwory prozą oraz eseje i wiersze, które wraz z komentarzami wydawał w kolejnych edycjach, m.in. w Bibliotece Narodowej (Ossolineum 1995) i w PIW-ie (*Utwory wybrane* w dwóch

tomach, 2017). Ponadto dokonał nowych przekładów wszystkich tragedii Sofoklesa (PIW 2018), wyboru tragedii Racine’a (PIW 2019), *Makbeta* Shakespeare’a (Noir sur Blanc 2002, z przedmową Sławomira Mrożka), *Salome* i *Tragedii florenckiej* Oskara Wilde’a (PIW 2003) oraz kanonu poezji Hölderlina *Co się ostaje, ustanawiają poeci* (słowo/obraz terytoria 2009) i Kawafisa *Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż* (Znak 2011). Tłumaczył także libretta operowe, m.in. *Śmierć w Wenecji* Beniamina Brittena, *Czarną maskę* (wg Hauptmana) i *Króla Ubu* (wg Jarry’ego) Krzysztofa Pendereckiego.

Od 1980 zaczął zajmować się reżyserią teatralną. W Polsce sztuki Becketta realizował m.in. w Teatrze Dramatycznym, Teatrze Narodowym i Teatrze Polskim w Warszawie: m.in. głośne inscenizacje *Ostatniej taśmy* (z T. Łomnickim, Z. Zapasiewiczem i A. Sewerynem), *Czekając na Godota* (z A. Ferencym, W. Malajkatem, Z. Zamachowskim i J. Radziwiłowiczem) i *Końcówki* (z A. Sewerynem i A. Mastalerzem). Realizował również sztuki w TV i Teatrze Polskiego Radia. Za granicą wystawiał dramaty Becketta w Londynie (Riverside Studios 1990, Barbican 1999), Dublinie (The Gate Theatre 1991), Nowym Jorku (Lincoln Center 1996) i Melbourne (1997). Łącznie zrealizował ponad trzydzieści przedstawień.

Przez wiele lat pozostawał w stałym kontakcie z dramaturgiem, który udzielał mu licznych rad i wskazówek inscenizacyjnych i nazywał go swoim „ambasadorem w Europie Wschodniej”.

Swoje wieloletnie zainteresowanie dziełem Becketta, uwieńczone poznaniem pisarza w Paryżu w 1978 r., opisał w książce *Godot i jego cień* (Znak 2009, PIW 2019), która znalazła się w finale Nagrody Angelus i przełożona została na francuski. Wraz z dominikaninem o. Januszem Pydą OP wydał również dialogi o teatrze Becketta pt. *Jesteście na Ziemi, na to rady nie ma!* (PIW 2018).

W 1998 r. opublikował powieść *Madame*, która otrzymała główną nagrodę w konkursie wydawnictwa Znak, a następnie Nagrodę im. A. Kijowskiego. W ciągu kolejnych lat osiągnęła łączny nakład ponad 120 tysięcy egzemplarzy i została przełożona na ponad 20 języków. W 2002 znalazła się w finale międzynarodowej nagrody IMPAC Dublin Literary Award, do której ogółem nominowano 123 powieści z całego świata.

W 2013 r. wydał tryptyk nowelistyczny *Niech się panu darzy* (Więź 2013), z którego opowiadanie *Toccata C-dur* zostało przełożone na kilka języków i stało się podstawą adaptacji radiowej, która otrzymała nagrodę na Festiwalu Dwa Teatry w Sopocie w 2018 r.

Jest członkiem PEN-Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz amerykańskiego Samuel Beckett Society.

ANTONI LIBERA, *RADICAL SKEPTICISM*, SCIENTIFIC AND LITERARY SERIES "LECTURES OF THE MASTERS", ED. KRZYSZTOF KOROTKICH, JAROSŁAW ŁAWSKI, T. 12, EDITED BY KRZYSZTOF KOROTKICH, FACULTY OF PHILOLOGY OF THE UNIVERSITY OF BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020

Summary

On December 10, 2019, the famous writer, director, expert on the work of Samuel Beckett, translator and essayist Antoni Libera visited the University of Białystok. Crowds of students and lecturers came to the auditorium of the Faculty of Philology for the master-class entitled *My skirmishes with Gombrowicz*. In the printed version, the author changed the title of the lecture to *Radical Skepticism*. The main theme of Libera's lecture was *Kosmos*, a novel by Witold Gombrowicz, shown by Libera as an ambiguous work, calling for new readings. *Kosmos* is primarily a work showing a specific vision of life, which also turns out to be a vision of the universe. *Kosmos* is an important work in Gombrowicz's legacy, and is a kind of key to reading other texts by the author of *Ferdydurke*. Libera, however, did not make an "ordinary" interpretation of Gombrowicz's novel, but incorporated this work into his own biography, weaving the story of his father's departure to France, prof. Zdzisław Libera, who became the owner of a copy of the work in unusual circumstances. Antoni Libera's lecture thus showed a different plan of events, important to him, it became a kind of analysis of shaping his own identity, worldview, literary interests, as well as the relations between him and his father and his generation.

Antoni Libera was born in 1949 in Warsaw. His father was a literary historian, professor at the University of Warsaw; mother, a classical philologist, taught Latin and ancient history in a secondary school in

Warsaw. He attended a music school, and after graduating from high school, he studied philology at the University of Warsaw, graduated in 1972, submitted his thesis on Gombrowicz's novel *Kosmos*. In 1984, he obtained his doctorate at the Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences on the basis of a dissertation on the work of Samuel Beckett. In the years 1969–1989 he practiced literary criticism and essay writing, concentrating on the work of the Irish Nobel Prize winner. He published a selection of his literary essays in the volume *Blessing Beckett* (2004). As a translator, he assimilated into the Polish language all of Beckett's dramas, as well as numerous of his works in prose, essays and poems. In addition, he has made new translations of all the tragedies of Sophocles (2018), the selection of the tragedies of Racine (2019), *Macbeth* Shakespeare (2002, with a foreword by Sławomir Mrożek), *Salome* and *the Florentine Tragedy* by Oskar Wilde (2003) and the canon of poetry by Hölderlin *Co się ostaje, ustanawiają poeci* (2009) and Kawafis *If you are going on a journey to Itaka* (2011). He translated opera librettos, incl. *The Death in Venice* of Benjamin Britten, *The Black Mask* (according to Hauptman) and *King Ubu* (according to Jarry) by Krzysztof Penderecki. Since 1980 he has been dealing with theater directing. In Poland, Beckett's plays were made by, among others at the Dramatyczny Theater, the National Theater and the Polish Theater in Warsaw: including famous productions of *The Last Tape*, *Waiting for Godot* and *Endings*. Abroad, he has staged Beckett's plays in London (Riverside Studios 1990, Barbican 1999), Dublin (The Gate Theater 1991), New York (Lincoln Center 1996) and Melbourne (1997). In total, he has staged over thirty performances.

In 1998, he published the novel *Madame*, which received the main prize in the Znak publishing house competition, and then the Andrzej Kijowski Prize. Over the following years, it was translated into more than 20 languages. In 2002, she was in the finals of the international IMPAC Dublin Literary Award. He is a member of the PEN-Club and the Polish Writers Association.

ANTONILIBERA, *RADICALSKEPTICISM*, (LITTÉRALEMENT: «SCEPTICISME RADICAL »), SÉRIE SCIENTIFIQUE ET LITTÉRAIRE « CONFÉRENCES DES MAÎTRES », ÉD. KRZYSZTOF KOROTKICH, JAROSŁAW ŁAWSKI, T. 12, ÉDITÉ PAR KRZYSZTOF KOROTKICH, FACULTÉ DE PHILOLOGIE DE L'UNIVERSITÉ DE BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020

Résumé

Le 10 décembre 2019, le célèbre écrivain, réalisateur, expert de l'œuvre de Samuel Beckett, traducteur et essayiste, Antoni Libera a visité l'Université de Białystok. De nombreux étudiants et professeurs sont venus à l'auditorium de la Faculté de Philologie pour la Masterclass intitulée *My skirmishes with Gombrowicz* (littéralement : « Mes escarmouches avec Gombrowicz »). Dans la version imprimée, l'auteur a changé le titre de la conférence pour *Radical Skepticism*. Le thème principal de la conférence de Libera portait sur *Kosmos*, un roman de Witold Gombrowicz, présenté par Libera comme une œuvre ambiguë, appelant de nouvelles lectures. *Kosmos* est avant tout une œuvre montrant une vision spécifique de la vie, qui s'avère également être une vision de l'univers. *Kosmos* est une œuvre importante dans l'héritage de Gombrowicz, et est une sorte de clé de lecture pour d'autres textes de l'auteur de *Ferdydurke*. Libera, cependant, n'a pas fait une interprétation « ordinaire » du roman de Gombrowicz, mais a incorporé ce travail dans sa propre biographie, tissant l'histoire du départ de son père en France, le prof. Zdzisław Libera, qui est devenu propriétaire d'une copie de l'œuvre dans des circonstances inhabituelles. La conférence d'Antoni Libera a donc montré un scénario différent, important pour lui, qui est devenu une sorte d'analyse de la formation de sa propre identité, de sa vision du monde, de ses intérêts littéraires, ainsi que des relations entre lui et son père et sa génération.

Antoni Libera est né en 1949 à Varsovie. Son père était historien littéraire, professeur à l'université de Varsovie ; sa mère, philologue classique, a enseigné le latin et l'histoire ancienne dans une école secondaire de Varsovie. Il a fréquenté une école de musique, et après avoir obtenu son diplôme du lycée, il a étudié la philologie à l'Université de Varsovie, fut diplômé en 1972, et a soumis sa thèse sur le roman de Gombrowicz, *Kosmos*. En 1984, il obtient son doctorat à l'Institut de recherche littéraire de l'Académie polonaise des sciences sur la base d'une thèse sur l'œuvre de Samuel Beckett. Dans les années 1969-1989, il a pratiqué la critique littéraire et la rédaction d'essais, se concentrant sur le travail du lauréat du prix Nobel irlandais. Il a publié une sélection de ses essais littéraires dans le volume *Blessing Beckett* (2004). En tant que traducteur, il a assimilé dans la langue polonaise tous les drames de Beckett, ainsi que de nombreuses œuvres en prose, essais et poèmes. En outre, il a réalisé de nouvelles traductions de toutes les tragédies de Sophocle (2018), la sélection des tragédies de Racine (2019), *Macbeth* Shakespeare (2002, avec un avant-propos de Sławomir Mrożek), *Salomé et la tragédie florentine* d'Oskar Wilde (2003) et le canon de poésie de Hölderlin *Co się ostaje, ustanawiają poeci* (2009) et Kawafis *If you are going on a journey to Itaka* (2011). Il a traduit des livrets d'opéra, dont *La mort à Venise* de Benjamin Britten, *le Masque noir* (selon Hauptman) et *le roi Ubu* (selon Jarry) par Krzysztof Penderecki. Depuis 1980, il se consacre à la mise en scène théâtrale. En Pologne, les pièces de Beckett ont été jouées, entre autres, au Théâtre Dramatyczny, au Théâtre national et au Théâtre polonais de Varsovie : notamment les célèbres productions de *The Last Tape*, *Waiting for Godot* et *Endings*. À l'étranger, il a mis en scène des pièces de Beckett à Londres (Riverside Studios 1990, Barbican 1999), Dublin (The Gate Theatre 1991), New York (Lincoln Center 1996) et Melbourne (1997). Au total, il a mis en scène plus de trente représentations.

En 1998, il publie le roman *Madame*, qui reçoit le prix principal du concours de la maison d'édition Znak, puis le prix Andrzej Kijowski. Au cours des années suivantes, le livre a été traduit dans plus de 20 langues. En 2002, le roman était en finale du prix littéraire international IMPAC Dublin. Il est membre du PEN-Club et de la Polish Writers Association.

Spis treści

Antoni Libera	
<i>Radykalny sceptycyzm</i>	7
Krzysztof Korotkich	
<i>Prelekcja Antoniego Libery</i>	31
Antoni Libera – biogram	41
Summary	45
Résumé	47

Tomiki wydane w Serii Naukowo-Literackiej
„Prelekcje Mistrzów”

- I. Wojciech Kass, *Światło jaśnie gość*, red. Zbigniew Fałtynowicz, Białystok 2017.
- II. Magdalena Popiel, „*Artysta jest obecny*”. *Problem tożsamości artysty nowoczesnego i ponowoczesnego*, red. Jarosław Ławski, Białystok 2018.
- III. Anna Legeżyńska, *Jasny dialog z mrocznymi siłami. Opowieść o Julii Hartwig*, red. Jarosław Ławski, Białystok 2018.
- IV. Andrzej Strumiłło, *O Władysławie Strzemińskim. Wykład*, red. Maja Rogala, Białystok 2018.
- V. Julian Maślanka, *Wspomnienie o Ryszardzie Kazimierzu Lewańskim. W setną rocznicę urodzin*, red. Krzysztof Rutkowski, Białystok 2018.
- VI. Lucjan Suchanek, *Aleksander Sołżenicyn. Emigracja. Emigrantologia*, red. Krzysztof Korotkich, Białystok 2019.
- VII. Teresa Kostkiewiczowa, *Pod znakiem Klio. Pamięć zbiorowa w polskiej poezji drugiej połowy XVIII wieku*, red. Łukasz Zabielski, Białystok 2019.
- VIII. Larisa Ratsiburskaia, *Nowe procesy w słowotwórstwie języka rosyjskiego*, red. Anna Romanik, Białystok 2019.
- IX. Stanisław Dubisz, *Periodyzacja rozwoju polszczyzny, a w szczególności jej dziejów najnowszych (1939–2019)*, red. Urszula Sokólska, Białystok 2019.
- X. Maria Kalinowska, *Grecka podróż Zbigniewa Herberta – z Juliuszem Słowackim w tle?*, red. Krzysztof Korotkich, Białystok 2019.
- XI. Elżbieta Muskat-Tabakowska, *Tłumacz (literatury) i gramatyka – śmiesz, tumani, czy przestrasza?*, red. Daniel Karczewski, Białystok 2019.